

Edward Socha urodzony w 1927 roku w Kamieniu na Prusinie.



Edward Socha

"Gdy miałem 12 lat wybuchła wojna, dowiedziałem się o tym fakcie od rodziców. Oni rozmawiali o wojnie. We wrześniu 1939 roku do Kamienia wkroczyło wojsko niemieckie. Szli drogą i ja ich widziałem. Byli dobrze ubrani, uzbrojeni i najedzeni.

W styczniu 1942 roku, gdy miałem 15 lat, zostałem wywieziony na roboty przymusowe. O konieczności wyjazdu zostałem poinformowany przez gminę. Byłem na liście osób wskazanych do pracy. Zgłosiłem się w wyznaczonym terminie do gminy. Stamtąd wraz z innymi zostałem zawieziony do Rzeszowa. Z Kamienia było ponad 20 osób. Z Rzeszowa pociągiem, który był

cały załadowany takimi samymi nieszczęśnikami jak ja, dojechałem do Krakowa. Tam czekaliśmy prawie tydzień, gdy był już cały skład skompletowany, rozpoczęła się podróż do Wiednia. Podróż nie trwała zbyt długo, bo u Niemców była dobra organizacja i surowa dyscyplina. To było widoczne na każdym miejscu. Tam we Wiedniu nas rozdzielono do gospodarzy (bauerów). Zostałem przydzielony do gospodarza, który nazywał się Andreas Kandler i mieszkał w miejscowości Kammerdorf nr 29 (w Dolnej Austrii, około 50 km od Wiednia). Piechotą dotarłem do mojego nowego miejsca pobytu. Przyjęła nas żona gospodarza, zaraz dała nam jeść. Żona bauera była bardzo dobra, a gospodarz okrutny. W ich domu były portrety Hitlera (jeden przy wejściu w sieni nad drzwiami, a drugi w jego gabinecie). Gospodarz był także urzędnikiem, zarządzał gminą, nikt mu w tym nie pomagał. Wydawał broń, amunicję, szkolił starszych mieszkańców miejscowości do walki. Wraz ze mną u nich był jeszcze jeden mężczyzna, który pochodził spod Krakowa i pani, była nauczycielką, mieszkała w Krakowie i została schwytana w czasie ulicznej łapanki. Nic nie umiała robić w gospodarstwie.

Każdego ranka budziła nas gospodyni, głośno krzyczała - aufstehen. Latem na długim dniu już o 4 rano zaś jesienią, zimą przy krótszym dniu godzinę później. Z tym Polakiem spod Krakowa mieliśmy wspólne pomieszczenie, a kobieta miała oddzielne. Najpierw zajmowaliśmy się obrządkiem zwierząt hodowanych w gospodarstwie: krowami - było ich 4 lub 5, świniami - 15, zaś inny parobek zajmował się końmi. Później szliśmy w pole do pracy, z nami szła gospodyni. Ona była bardzo pracowita. Na wsi panował wzorowy porządek, gdy zdarzały się awantury, konflikty, wzywana była policja. W południe, gdy dzwony biły w kościele, to była „święta godzina”, była przerwa. Wracaliśmy do gospodarstwa, najpierw zajmowaliśmy się zwierzętami, a dopiero później był czas na nasz posiłek. Na długim dniu dostawaliśmy 5 razy jedzenie, a na krótkim 3 razy. Gdy gospodyni wołała na obiad, trzeba było natychmiast przyjść. Jedliśmy wspólnie z rodziną gospodarza. Na stole stał garnek, były postawione talerze, każdy nalewał sobie i musiał to wszystko zjeść. Dyscyplina była okropna. Dotyczyła zarówno nas robotników przymusowych, jak i innych mieszkańców miejscowości.

Raz się przydarzyło, że stary dziadek, który mieszkał w tej wsi, bez zezwolenia i badania zabił świnie, zaraz za 2 dni zjawili się u niego policjanci i zabrali ze sobą nieposłusznego, wywieźli ze wsi i dopiero po 2 miesiącach kary go wypuścili. Policjanci pojawiali się we wsi zawsze we dwóch, przyjeżdżali motorem lub samochodem. Po obiedzie pracowaliśmy w obejściu lub szliśmy z powrotem w pole. Nie wolno było w ciągu dnia sobie usiąść, odpocząć, tylko ciągle pracować. Miejscowość była położona w terenie górzystym. Gospodarze w tej miejscowości mieli piwnice pełne wina. Za namową Polaka, który także był na robotach, uczestniczyłem w wyprawie po wino. Patrzyłem jak otwierał zamki wytrychem, by dostać się do piwnicy. W ogromnych beczkach leżakowało wino, trochę spuściliśmy, a ubytek w beczce uzupełniliśmy niezbyt czystą wodą zaczerpniętą z rowu. Nie pozostawiliśmy śladów włamania, jednak ktoś nas widział i doniósł na policję. Sąd nad nami odbył się we wsi, przyjechał sędzia. Mój gospodarz mnie bronił, zaś ten, któremu troszkę podebraliśmy wina, twierdził, że nie było śladu włamania i nic mu nie zginęło. Miałem wielkie szczęście, mogłem być osądzony i skazany na śmierć. W miejscowości, w której przebywałem Niemka urodziła dziecko, ojcem był Polak przebywający na robotach, jej mąż był na wojnie. Mężczyznę tego rozstrzelano, ciało jego leżało 24 godziny przy drodze, nie wolno go było ruszyć, po tym czasie zjawiał się grabarz, zabrał je i je pochował.

Miejscowość, w której przebywałem w Austrii, wyzwolili Rosjanie. Było okropnie, kiedy się pojawili. Do domu moich gospodarzy weszło 3 oficerów, żądali jedzenia. Nasza gospodyni wcześniej schroniła się w sąsiedniej miejscowości. Tłumaczyliśmy Rosjanom, że także jesteśmy głodni, bo od dwóch dni nie było co jeść. Nam nie wierzyli, szukali jedzenia w kuchni, przetrząsnęli dom. My, robotnicy przymusowi już wtedy zaczęliśmy się gromadzić, jak wspomniałem wcześniej nasi gospodarze pouciekali. Rosjanie nakazali nam wyjść z domu. Wyszliśmy posłusznie, wtedy jeden z oficerów wyciągnął broń i zabił 10 kur, które biegały po podwórku. Otrzymaliśmy rozkaz aby je oskubać, wypatroszyć, a następnie ugotować w dużym garnku, w którym nasza gospodyni gotowała bieliznę. Wysłali nas także po wino. Jedną z osób wskazanych do tego zajęcia byłem ja. Wziąłem kankę, w której wcześniej codziennie nosiłem mleko do mleczarni. Poszedłem więc z kolegą do naszej piwnicy. Tam spotkaliśmy Rosjan, którzy już wytoczyli beczkę z winem, nam też do kanki go nalali. Wróciłem z kolegą do domu, do kuchni, tam siedzieli oficerowie, zanim się sami napili wina, które przynieśliśmy, kazali nam się napić. Jedli ugotowane kury i popijali winem. Później obeszlą cały dom, wszystkie pomieszczenia, kazali Polkom, które tam były przyjść do nich. Kobiety płakały, prosiły, opierały się jednak zostały zmuszone do bycia z nimi. Rosjanie we wsi traktowali wszystko jak swoje, otwierali sklepy, plądrowali domy. Kazali nam odchodzić, bo tu będzie niebezpiecznie, gdyż zbliża się front. Było nas już razem 10 osób, w tym 3 Rosjanki. Znaleźliśmy we wsi konia, był wóz, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że tyle osób nie da rady uciągnąć. Rosjanki bardzo prosiły, by je zabrać. Na podwórzu żołnierz rosyjski trzymał 3 konie i te Rosjanki wyprosiły dla naszej gromady jeszcze jednego, mając 2 konie, zaprzęgliśmy je do wozu i ruszyliśmy do Polski. Tym wozem z 2 końmi dotarliśmy z Austrii do Cieszyna. Tam już byli Rosjanie. Stała ich cała gromada, może 20. Zatrzymali nas, przejrzeni nasz wóz, nas zrewidowali i nakazali jechać do ich dowództwa. Byliśmy tam przesłuchiwani, my byliśmy przesłuchiwani przez Polaków. Towarzyszące nam Rosjanki chciano wcielić do armii, one jednak strasznie płakały, chciały wrócić do swoich, bo ich nie widziały 3 lata. Jednak wśród Rosjan był taki, co pochodził z ich rodzinnej miejscowości i twierdził, że nie mają po co wracać, bo ich wsi i bliskich nie ma. Zabrała ich wojna. W Cieszynie zabrano nam 1 konia. Resztę drogi do domu (ze mną 5 osób) odbyliśmy pociągiem, pozostali pojechali wozem. Jechałem z Cieszyna do Krakowa, z Krakowa do Rzeszowa, z Rzeszowa do Łętowni. Do Kamienia dotarłem pieszo. Nikt z nas nie miał biletu, mimo wojny jeździły pociągi, wszędzie było pełno wojska. Powróciłem do domu w maju 1945. Moja tułaczka, ciężka praca, trwała 3 lata. W czasie tej wojny, którą przeżyłem, najstraszniejszy był głód i ciągły strach. Wojna to nic dobrego, wspomnienia z tamtego okresu są ciągle żywe, nie dają się wymazać. Powrotem do tamtych złych czasów, wspomnieniom towarzyszą zawsze łzy."



Kamiień - Prusina 1938R. Nr. Jemu 166
Pirógowie dziadek Andrzeja - wujek
Bobuś Anna Piróg
Czesław Piróg - Jadwiga (bona) Wojciecha - Wojciecha
Adam
Kazimierz Kowalski z córki Anną pracował
Emila Piróg - Kowalska w ministerstwie

skan12 - jmk
#B00C54



Wspomnienia Edwarda Sochy z 1949 roku w towarzystwie siostrami i siostrzankami.